
ŚWIADECTWA RÓŻNYCH OSÓB O KS. JANIE CZUBIE

Poniższy materiał pochodzi z IV rozdziału książki „Zostaję na miejscu do końca” noszącego tytuł: MĘCZENNICZY MAJĄ NAM WIELE DO POWIEDZENIA

„Męczennicy mają nam wiele do powiedzenia” – przypomniał nam Jan Paweł II w Skoczowie, w dniu 22 maja 1995 roku. Zanurzając się w głębię świadectw o ks. Janie zawartych w tym rozdziale, czujemy rzeczywiście, że męczeńska śmierć Misjonarza, jest dla nas wyzwaniem.

Siostra Ancilla, jako kwalifikowana pielęgniarka, pracująca dwadzieścia pięć lat w Afryce, czyniła wiele dobra dla mieszkańców Loulombo. W liście, po zakończonej wojnie, ksiądz Jan nazywa ją „prawdziwym skarbem” dla ludzi, którzy zostali dotknięci rzeczywistością biedy i chorób. Świadectwo s. Ancilli jest wymowne.

Proszono mnie, abym napisała parę zdań o naszej wspólnej pracy z księdzem Janem Czuba, o tym, jak postrzegaliśmy go przez te lata. Jest rzeczą trudną tak szybko ująć to, co wydarzyło się ostatnio, a jeszcze trudniej przenieść na papier nasze uczucia i przeżycia. Mimo wszystko spróbuję.

Pod koniec października 1994 r. przyjechałyśmy do Loulombo. Siostry Laurette i Armandine (Kongijki) i ja, Ancilla (Holenderka), weszłyśmy do naszego domu zakonnego, który wybudował dla nas ksiądz Jan i w ciągu trzech miesięcy wyposażył w potrzebne sprzęty. Jesteśmy mu za tę pracę wdzięczne. Zaangażował do pomocy parafian, którzy też przyjęli nas serdecznie.

Naszą pracę w parafii rozpoczęliśmy zaraz od pierwszego dnia pobytu w niej, gdyż przyszło wielu chorych i potrzebujących. Ksiądz Jan wiedział, jak urządzić aptekę, którą wyposażył w potrzebne półki i szafy, pomalował farbą, a my zajęłyśmy się opatrywaniem chorych.

Posiłki rano, w południe i wieczorem jadaliśmy wspólnie z księdzem Janem na plebanii, potem wspólnie myliśmy naczynia, sprzątałyśmy jadalnię itp. Następnie każda z nas udawała się do swojej pracy. Przy stole rozmawialiśmy o pracy duszpasterskiej w parafii, o akcjach z młodzieżą, o pomocy chorym i starszym, a także radziłyśmy się naszego proboszcza, konsultując z nim wspólną pracę parafialną. Dużo dyskutowaliśmy i wymienialiśmy uwagi na tematy bieżące. Porządek dnia był następujący: rozpoczynaliśmy rano o 6.15 modlitwą brewiarzową wstający dzień. Zwykle przychodziło parę osób, przeważnie młodzież, aby wspólnie z nami recytować psalmy w języku francuskim. Potem uczestniczyliśmy we Mszy św. Wieczorem znowu w kościele była wspólna modlitwa brewiarzowa. Te modlitwy: poranna i wieczorna były dla nas źródłem radości i mocnym oparciem, aby czuć się wspólnotą i przebywać razem. To chciałam szczególnie zaznaczyć, pisząc o księdzu Janie.

Pomagaliśmy sobie nawzajem, gdy chodziło o wykonanie prac w domu, w ogrodzie itp. Zwłaszcza w pracy parafialnej i licznych kaplicach na terenie parafii (tzw. dojazdowych). W tych wyprawach misyjnych zawsze towarzyszyła księdzu Janowi jedna z nas. W wioskach odprawiano Msze św., udzielano sakramentów św. Siostra zawsze zabierała ze sobą lekarstwa, aby pomóc biednym, potrzebującym i ludziom starym.

W Kikembo ksiądz Jan wybudował aptekę, gdzie siostry udzielały pomocy chorym. Na tym terenie nie było przychodni lekarskiej. Ludzie cenili sobie tę troskę o ich zdrowie i

przychodzili licznie na spotkania. Bardzo dużo rozmawialiśmy o tym, co jest dobre i pozytywne w pracy misyjnej i także o tym, co powinno się robić, aby było lepiej.

W rzeczywistości wszyscy, tak siostry jak i ksiądz Jan, pracowaliśmy w ostatnim czasie dużo, zbyt dużo. To było wyczerpujące. W scenerii toczącej się nieustannie od dwóch lat wojny, hasłem powtarzającym się codziennie było słowo „pokój”. Zastanawialiśmy się, jak praktycznie w poszczególnych momentach zachować pokój ducha. Całą naszą pracą chcieliśmy wskazywać wszystkim nadzieję na lepsze jutro. Ta sprawa była niezwykle ważna dla księdza Jana. Był wiceprzewodniczącym komitetu rozbrojeniowego i w tym względzie mówił zawsze prawdę niczego nie ukrywając.

Wyczuwaliśmy jednak coraz bardziej wzrastające napięcie i ze wszystkich stron słyszeliśmy wystrzały i wybuchy. Coraz bardziej przybliżały się w naszą stronę. Wspólnie obserwowaliśmy rozwój wypadków i wzajemnie pocieszaliśmy się. Być może, że w ten sposób ukrywaliśmy własny niepokój, który drażył każde z nas.

To, co zauważyłam szczególnie i co mnie zastanowiło, iż ksiądz Jan przy stole trzy razy powtórzył w ostatnich dniach tygodnia: „Czytam list św. Teresy z Lisieux do kapłanów i to daje mi wiele do myślenia. Być może, umrę jako męczennik”.

Gdy to było już trzeci raz, powiedziałam: „Księżę Janie, to sprawia mi ból. Nie trzeba w ten sposób mówić. Jest ksiądz jeszcze młodym człowiekiem i ma ksiądz do zrealizowania tyle projektów; przecież czeka księdza tyle pracy, a i my potrzebujemy również kapłana”. Odpowiedział: „Przepraszam, już więcej nie będę o tym mówił”.

Podczas ostatniego obiadu, w południe, rozmawialiśmy o papieżu Janie Pawle II i wówczas ksiądz Jan zauważył: „Papież z pewnością chciałby, żeby jego pogrzeb był bardzo prosty. Gdy ja umrę tutaj, nie odsyłajcie mojego ciała do Polski, ale pochowajcie je tutaj, obok grotty, w trumnie z białych desek”. Czyżby wiedział, co go spotka? Godzinę po tych słowach był już męczennikiem za pokój.

W tym momencie najbardziej ubolewam nad tym, że nie mogłam pochować ciała zamordowanego księdza Jana i że zostawiłam to innym. Pozostało mi przekonanie, że z jego strony była to największa ofiara. Życie tak bogate i tak intensywne, duch tak wybiegający w przyszłość – i skończyło się to wszystko tak brutalnie. Mój Boże! Jak ciężko w tej chwili jest cokolwiek starać się zrozumieć! To sprawia ból! Niepojęta jest tajemnica miłości. Jestem przekonana, że ksiądz Jan jest szczęśliwy teraz w tej Bożej Miłości.

A sama mam przeświadczenie, że doznałam wielkiego wyróżnienia: pracować z nim wiele lat i widzieć jego zatroskanie o sprawy Boże. Był dobry i energiczny, często uparty w swoich planach. I to właśnie przekonywało do niego ludzi. Cenię go za to, że był człowiekiem, pasterzem i przyjacielem w trudnych momentach. Nie oszczędzał się w pracy Bożej, oddawał się całkowicie swojej kapłańskiej posłudze, zwłaszcza w dojazdach do kaplic położonych w terenie górzystym. Wracał z tych pieszych wędrówek bardzo zmęczony, ale szczęśliwy.

Największą jego troską było głoszenie Dobrej Nowiny i pokoju. Jego życie zostało przerwane, ciało pochowane, ale duch żyje i pozostanie, aby to dalej kontynuować. Tak my, jak i Kościół powinniśmy robić wszystko, aby Loulombo stało się centrum modlitwy o pokój, gdzie kwitnąć będzie nowe życie i dalej głoszona będzie Ewangelia.

Za wszystko dziękuję Ci, księżę Janie! Te lata wspólnie spędzone na pracy misyjnej nie były bezowocne. Bóg wie, kiedy należy zebrać owoce! Spodziewam się, że będziesz za mną orędowną i wstawiał się do Boga w inny sposób. Wyprzedziłeś nas, księżę Janie, ale jednocześnie pozostałeś wśród nas.

S. Ancilla Huijbers
Boxmeer, marzec 1999 r.

Ks. Bogdan Piotrowski wyjechał na misję do Konga w 1990 roku i do dzisiaj tam głosi Ewangelię. Pracował z księdzem Janem zarówno w Mindouli, jak i w Loulombo. Cztery lata swego misjonarskiego życia spędził więc wspólnie z księdzem Janem. Jego świadectwo ma przez to szczególną wartość.

Ksiądz Jan był człowiekiem odważnym. Ufny w Bożą Opatrzność, został na swojej placówce pomimo wielu próśb. Nasza ostatnia rozmowa przez CB radio, która odbyła się dwie godziny przed jego śmiercią była następująca:

„Pamiętaj, Janie, dar życia jest najważniejszy, a misję – nawet jeśli ją zniszczą, zawsze można odbudować”. Odpowiedź była prosta: „Wiem, ale każdy w tej sytuacji musi zdecydować sam. Ja zostaję”. I został razem z trzema siostrami i swoimi parafianami na placówce. Dwie godziny później już nie żył. Siostry w obawie o życie swojej współsiostry (Holenderki) zaraz po śmierci księdza Jana opuściły misję. Na następny dzień wojsko angolskie wkroczyło do Loulombo – wszyscy mieszkańcy uciekli z wioski. W tym dniu ksiądz Jan został pochowany w trumnie z białego, nieheblowanego drewna.

To już trzecia lub czwarta wojna, którą przeżywał w Kongu. Do tego czasu Opatrzność Boża strzegła jego i nas na naszych misyjnych szlakach. Aż przyszedł ten dzień październikowy, kiedy miał złożyć największą ofiarę ze swojego życia.

Przypominam sobie, kiedy wybuchły pierwsze zamieszki 1993/94, on był już w Loulombo z ks. Józefem Smoleniem. Ja zostałem z ks. Stanisławem Łacnym w Mindouli (45 km odległości) – już na dole, w wiosce, w nowej plebanii. Kiedy napięcie w wiosce rosło, kiedy czystka etniczna (między dwiema grupami etnicznymi z południa, które dotąd żyły razem) osiągnęła swój punkt zenitalny, każda, nawet najmniej prawdopodobna, informacja robiła wielkie zamieszanie. Drogi były zabarykadowane, co utrudniało nam wszelkie poruszanie się po terenie. Polowanie na ludzi niewygodnych lub sprzyjających wrogiej grupie było „la mode” (w modzie). Wtedy to oskarżono mnie o ukrywanie w parafii najemnika wojskowego (był to lekarz francuski, który będąc przejazdem, mieszkał dwa dni u nas w czasie wakacji) i skazano mnie na śmierć wraz z kilkoma osobami z wioski. Dano nam jednak 48 godzin na jej opuszczenie. Między polskimi misjami porozumiewaliśmy się już przez CB radio. Kiedy ksiądz Jan dowiedział się o zaistniałej sytuacji, postanowił natychmiast przyjechać do Mindouli, aby pozostać z nami. Powiedział: „Kiedy nas będzie trzech, to będzie inaczej”. Tego samego wieczora był już z nami. Tak przetrwaliśmy wspólnie dwa najtrudniejsze dni. Już wcześniej kilka razy jego życie było zagrożone. W czasie ostatniej wojny (1997 – ja byłem już w Missafou – 20 km od Mindouli), mieliśmy spotkanie wszystkich księży z biskupem w Mindouli. Kiedy jechał na to spotkanie 13 października, sytuacja na drodze była bardzo napięta – stolica kapitulowała i kto tylko mógł, uciekał na południe. W każdym samochodzie ludzie dysponowali bronią. Ksiądz Jan jechał swoim „Suzuki” do Mindouli (w stronę Brazzaville). W połowie drogi uzbrojeni ludzie, którym zepsuł się samochód, chcieli go zatrzymać. On zwolnił tylko trochę, jakby chciał się zatrzymać, a potem nagle przyspieszył. Zaskoczenie było wielkie i pomimo, że broń skierowali w stronę uciekającego samochodu, nikt nie strzelił. Czy tylko przypadek? Tego samego dnia przy wjeździe do Mindouli uciekający wojskowi zablokowali drogę – nie mieli oleju do motoru. Ksiądz Jan musiał się zatrzymać – chcieli mu zabrać samochód, ale było ich zbyt dużo, by się w nim zmieścić. Ksiądz Jan obiecał ich podwieźć do miasta i wskazać, gdzie sprzedają olej (stacje paliw nie funkcjonowały od roku – benzyna i olej były sprzedawane u tzw. „kadafi” – tzn. u handlarzy w prywatnych domach). Kiedy dojechali do takiego domu, na szczęście wszyscy wysiedli i pobiegli po olej – co pozwoliło księdzu Janowi na ucieczkę.

Kiedy po zakończonym spotkaniu wracaliśmy do domów, on musiał wracać do siebie inną drogą – poprzez góry.

Patrząc z perspektywy sześciu miesięcy na śmierć naszego brata, pozostaje nam tylko wspomnienie tego, który był zawsze wierny Bożym przykazaniom, w wierze „Miłosiernego Ojca”, która była i jest gwarancją odnowy moralnej tego kraju.

Był przykładem odwagi w obronie prawa do wolności, sprawiedliwości i miłości człowieka – był realizatorem małych dzieł pomocy międzyludzkiej, które nie tylko trwały, ale i przynosiły owoce.

Przez swoją śmierć dał nam przykład pokojowej drogi rozwiązywania konfliktów, bez zemsty czy przemocy, na wzór Chrystusa przebaczącego i przyjmującego wszystkich, który to stał się jego wzorem.

Nasz brat odszedł w Panu, nagle, w odgłosie strzałów, ale ze spokojem na twarzy – jako zwycięzca. Oddał życie za Chrystusowy Kościół i kongijski naród, który ukochał.

Miłośnik pszczół.

Ksiądz Jan był miłośnikiem pszczół, nie tylko je obserwował, by uczyć się od nich pracy i wytrwałości, ale sam poświęcał wolne chwile, by ingerować w ich życie. Loulombo, gdzie były słynne na całym południu pasieki księdza Jana (miód z Loulombo), było jego królestwem. Tu je pielęgnował, przeschczepiał i leczył.

Celem jego pracy było oswojenie afrykańskich pszczół po to, by prości wieśniacy mogli znaleźć zajęcie i pracę, aby wyżywić rodzinę. Dlatego też założył szkołę dla pszczelarzy, gdzie uczył ich pracować z pszczołami. Niekiedy efektem ich pracy były „przerwy w pracy misji”, spowodowane inwazją pszczół, które kasały wszystkich w promieniu 500 m, ale po godzinie wszystko wracało do normy.

Ks. Bogdan Piotrowski

Ksiądz Andrzej Kurek (†2006), był duszpasterzem we Francji, pracował w Kongo dziewięć lat. Wspólnie z ks. Augustynem Gurgulem wybudował od podstaw misję w Loulombo. Ksiądz Andrzej, opuszczającego definitywnie tę właśnie misję w 1992 roku, zastąpił ksiądz Jan. Poniższe świadectwo świadczy o posłudze i życiu księdza Jana.

„Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich...”

(J 15,13)

„Pozwól mi spłonąć na Twoim ołtarzu, Panie...”

Drogi Jasiu! Nie potrafię mówić o Tobie inaczej, jak tylko o żyjącym. Taka jest Twoja rzeczywistość. Dziwne są drogi ludzkie. Ludzie spotykają się „przypadkowo”, a jednak w planach Bożych ma to wielki sens.

Twoją pracę duszpasterską możemy streścić: Szalencie Boży! Ze słowem Bożym niosłeś wielkie zaangażowanie, radość życia i optymizm. Nie bałeś się nigdy dalekich i niebezpiecznych wypraw do Pays Ba Dondo. Te dziewięć wiosek w górach, które można było wizytować tylko pieszo, lubiłeś szczególnie. Dziewięć dni marszu, codziennie 20-25 km. W tamtejszym klimacie (temperatura w cieniu 36 stopni Celsjusza, tropikalny deszcz) nie należało to do łatwych ani przyjemnych wędrówek. Zwłaszcza pierwsze podejście – jak na

Giewont, a bystre zejścia napawały każdego dreszczem. Ty zanosieś tam tyle radości, że wszyscy parafianie byli tym zauroczeni.

Dla nas byleś wspaniętym kolegą. Ileż to razy na afrykańskich drogach wyciągałeś innych z bagna, z wody czy piasku! Gdy któryś z nas długo nie wracał z buszu, braleś samochód i ludzi, aby nas szukać. Zawsze chętnie zastąpiłeś, pomogłeś i starałeś się każdego podnieść na duchu.

Do pracy fizycznej byleś za dwóch. Nigdy nie pokazałeś zmęczenia, chociaż wcale nie byleś mocnej postury. Znałeś wiele zawodów, a szerokie swe umiejętności przekazywałeś miejscowym parafianom. Wybudowałeś w Loulombo i Kingembo wioskowe apteki, a po innych wioskach szedłeś z walizką lekarstw, aby nieść pierwszą pomoc chorym i cierpiącym. Gdy przyszła potrzeba, woziłeś ludzi do szpitala w Loutété, oddalonego o 40 km lub do Brazzaville – 200 km. Wybudowałeś dom dla sióstr w Loulombo i w Kinkembo plebanię, a ostatnio, w sobotę przed swoim odejściem, rozpocząłeś fundamenty pod kościół w Mpassa Mines, przy granicy z Zairem.

Twoja praca była służbą, poświęceniem i sercem, podbudowana głęboką i autentyczną wiarą, wynikającą z głębokiego rozmodlenia. Już rano brewiarz z siostrami i grupą parafian, następnie Msza św. oraz modlitwa różańcowa, wspólna w czasie jazdy samochodem lub wieczorem, chodząc koło misji albo w kościele. Pracowałeś nieustannie, odwiedzając regularnie siedemnaście wiosek, chociaż ostatnie trzy lata byleś sam i nie miałeś żadnego urlopu. Twój entuzjazm nas zapalał. W wakacje pytałem Cię, co będziesz robił, jeśli w Kongo będzie nadal wojna i nie da się już tam pracować. Roześmiałeś się i powiedziałeś: „Gdybym miał opuścić Kongo, Afrykę, to na pewno nie zostanę ani w Polsce, ani we Francji. Pojadę gdzieś indziej na misje, może na Ukrainę...” Wiem, że Twoim domem od dawna była Afryka, bo tego kontynentu nie da się zapomnieć. Tam też zostaniesz na wieki.

We wtorek 27 października 1998 roku około godziny 14.00 do misji przyszło „Nindza” – wojsko obalonego prezydenta. Ta wizyta nie była ich pierwszą i jak zawsze wiązało się z nią ryzyko. Dla wyjaśnienia podaję, że wojsko obecnego prezydenta Sassou Nguesso nazywa się „Kobra”. Oprócz tego są jeszcze uzbrojone bandy, przedstawiające się, w zależności od okoliczności, za którąś z walczących stron. Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi i kto kim jest. Trzeba też wiedzieć, że ludzie ci często są pod wpływem narkotyków. Tym razem poszukują broni. Oczywiście nic nie znajdują, ale jak zwykle przy okazji zabrali trochę rzeczy i pieniądze. Wychodzą w złości, bo mało nagrabili i nie mieli powodu do szantażu. Za chwilę padła seria z karabinu maszynowego typu „kałasznikow” i na miejscu odszedłeś do Pana...

Ks. Andrzej Kurek
Ranguevaux, grudzień 1998 r.

Ks. Leszek Leszkiewicz, obecny biskup pomocniczy, który sam podjął decyzję pracy na misjach, jest uczniem księdza Jana. Daje on świadectwo o swoim katechecie z czasów szkoły średniej.

Trudno jest pisać cokolwiek o człowieku, którego się znało, a którego pochłonęła już śmierć. Tym bardziej, że była to śmierć tragiczna, ale zarazem wielka, bo męczeńska. W takim momencie rodzi się pokusa nadmiernego idealizowania.

Niemniej jednak piszę kilka słów, które są wspomnieniem postaci księdza Jana Czuby. Czynię to z dwóch powodów. Pierwszy z nich to ten, że ksiądz Jan był moim katechetą w szkole średniej, a drugi, ważniejszy, gdyż w dniu jego symbolicznego pogrzebu, podczas

żałobnej Mszy św. w tarnowskiej katedrze podjąłem decyzję o tym, że poproszę Księdza Biskupa o zgodę na wyjazd do pracy misyjnej, co uczyniłem.

Kim był ksiądz Jan Czuba? Nie chcę wspominać jego pracy katechetycznej i duszpasterskiej, ale wspomnę kilka szczegółów, których byłem świadkiem.

Ucząc się w szkole średniej w Bobowej, mieszkałem w internacie. W tym czasie bardzo chorowała mama księdza Jana. Pewnego dnia poprosił mnie, abym pojechał z nim do mamy, gdyż bał się, że zaśnie za kierownicą, a droga między Bobową i Pilznem jest dość długa. Ileż ten człowiek wnosił radości w życie chorej matki, która zawsze, ilekroć tam byłem bardzo cieszyła się z jego odwiedzin. Opowiadał jej o takich zwykłych, wydawać się mogło, nic nie znaczących sprawach, a jednak tak potrzebnych. Warto w tym miejscu podkreślić niezwykłą cechę jego osobowości, potrafił przeżywać wielką radość z małych rzeczy. Swoim charakterystycznym śmiechem umiał rozweselać innych. Stąd może nic dziwnego, że bardzo kochał przyrodę. Byłem z nim raz w górach i widziałem, jak potrafił pochylić się nad maleńkim kwiatkiem i mówić o pięknie przyrody, ale zawsze tak, że ten podziw dla niej przeradzał się w podziw dla Boga. To była katecheza, w którą bardzo się angażował.

I wreszcie chcę wspomnieć jego ostatnie wakacje w Polsce, a zarazem ostatnie nasze spotkanie. Była to bardzo króciutka rozmowa. Śpieszył się, bo miał umówioną wizytę u dentysty. Pełen humoru i radości mówił do mnie: „Nie pogadamy dziś wiele, ale zostaw to wszystko, co tu masz i przyjedź na misje, bo to dobrze tak coś więcej popracować, zanim się odpocznie”.

On już odpoczywa, a jego trud powinni przejąć inni.

Ks. Leszek Leszkiewicz